

Trudne słowa wstępu

Długi czas wahałem się, czy warto utrwać na piśmie dzieje własnego życia. Życia takiego jak moje. Komu potrzebne będą wyznania tego, kto nie jest św. Augustynem? Kto będzie czytał pamiętniki, jeśli autor nie jest Cezarem? Kogo zaciekawia przeżycia człowieka, który nie potrafi ich skreślić jak Pigoń, Kisielewski i tysiące innych Pepysów, wytrawnych pisarzy, znanych polityków, sławnych Einsteinów, wielce zasłużonych osób świeckich, duchownych i Bóg wie jakich jeszcze? A jednak i mnie pewne okoliczności wręcz zmusiły do spojrzenia na dzieje własne i dzieje mojej rodziny. Bo chociaż już od dawna utrwaląłem na piśmie wydarzenia ze swojego życia, chociaż zbierałem i sortowałem materiały, aby je przekazać przynajmniej swoim najbliższym, to brakowało mi impulsu, energii, a może i odwagi, aby owo zamierzenie, być może dla innych mało interesujące czy w ogóle nic nieznaczące, wykonać w całej prawdzie, jakakolwiek by ona nie była. A chodziło mi o utrwalenie myśli, uczuć i sądów, prac dokonanych i pomysłów niezrealizowanych, rodzących się nieraz i szybko ginących we wszystko pożerającym czasie. Nieliczne zresztą karty wspomnień z długich czasów studenckich, specyficznie przeżywanych z uwagi na moją nieco zawiłą przeszłość, na moje zakręty życiowe niełagodne, telegraficznie niegdyś zapisywane, tylko po części się zachowały. Częściowo pochłonięły je płomienie żelazniaka w rodzinnym domu na Pałukach. Nie żałowałem ich. Niejeden bowiem pisarz tak robił z pierwocinami swojej twórczości, którą w dalszych latach wspominał z sentymentem. I ja po latach, w owym ciężkim ponad wszelką miarę 1988 r., wróciłem do pisanie czy raczej opowieściowego opracowania zachowanych notatek. Bolesna wewnętrzna potrzeba pchała mnie do tego, aby ująć w słowa to, co już pograżyło się w otchłani czasu i żadną miarą nie może wrócić do poprzedniego stanu. Chciałem niejako uchronić od zguby to, co zapadło w jakąś głębię bez dna, by tam spocząć na wieki, to, co z nieprzeniknionych wyroków boskich niejako przedwcześnie znalazło swoje ostateczne rozwiązanie – jak się wydaje – w mrokach nigdy niekończącej się nocy. Nie miałem dotąd szczególnego

sentymetu, by przeżywać na nowo przeszłość taką, jaka była, zarówno ta moja własna, jak i mojej rodziny, założonej przed dwudziestoma pięcioma laty. Interesowały mnie i angażowały rzeczywistość, choć niełatwa, i myśl o przyszłości, choć stale mglistej, ale ciekawszej – jak się wydawało – niż przeszłość, mimo że jeszcze wówczas kształtowała ją, przynajmniej zewnętrznie, rewolucyjna ideologia z piekła rodem. O niej zresztą coraz mniej przekonująco rozprawiali świeccy i mundurowi „mędracy” z różnymi stopniami wiedzy i roztropności. Ja zaś w swojej duszy niezmiennie pielęgnowałem to, co mieli w sercach moja pałucka rodzina i miliony mieszkańców nad Wartą i Wisłą. Przede wszystkim chodziło tu o postawę życiową i wiarę przodków wyniesioną z rodzinnego domu. Uzupełniałem te wartości późniejszym wychowaniem, wykształceniem, nauką płynącą z literackich przykładów i żywych wzorów, jakich nie brakowało mi w szerokim świecie oraz we własnej małej i dużej ojczyźnie. Od wspomnianego 1988 r. moją głowę coraz bardziej wypełniały myśli, aby stworzyć jednak coś, co zaistniałoby jako rzecz mogąca trwać, gdy odejdę w zaświaty. Nic innego, co byłoby trwalsze niż owoce pióra, nie ujrzałem oczyma duszy. W moim wypadku było to rzeczywiście najpierw pióro ociekające na biały papier czernią zwykłej słownej prozy, wybijanej później na zwykłej maszynie do pisania, a wreszcie utrwalane na zwykłym, kapryśnym komputerze. Z pomocą takich więc narzędzi przez długie lata prowadziłem opowiadanie o sobie samym dla potomności, że posłużę się słowami mego wielkiego krajana, Klemensa z Januszkowa pod Żninem.

Nie urodziłem się zawodowym pisarzem. Zdobyłem natomiast zawód nauczycielski, który w mojej robotniczo-chłopskiej rodzinie w Mięcierzynie na Hubkach nie miał żadnej tradycji. I zawód ten, powtórzę za Lidią Winniczuk, znakomitą i drogą mi, i znaną osobiście warszawską nauczycielką filologii klasycznej¹, nie sprawił mi nigdy najmniejszego zawodu. Dzięki niemu starałem się najpierw o to, by jak najlepiej edukować uczniów w poznańskim liceum ogólnokształcącym, a po kilku latach, jako nauczyciel akademicki, przygotować jak najsumienniejszą kadry do profesji nauczycielskiej i naukowej. Oczywiście nie mogłem wówczas nie pisać naukowych rozpraw i książek o tematyce dotyczącej moich ulubionych dziedzin, a więc rzymskiej i łacińskiej literatury, zwłaszcza historycznej, oraz jej roli w kulturze dawnej Polski. Swoje badania łączyłem przy tym z tłumaczeniami łacińskich dzieł na język ojczysty, aby rodakom przybliżyć podstawy naszej współczesnej kultury i cywilizacji, od której nie

¹ Prof. Lidia Winniczuk z Uniwersytetu Warszawskiego, autorka książki pt. *Zawód, który nie sprawił zawodu* (Warszawa 1992).

widziałem niczego lepszego. Mijały wtedy oczywiście godziny, dni i noce, lata całe na utrwalaniu cisnących się do głowy myśli i słów.

Druga sprawa pochłaniająca dużo czasu, równie ważna jak pierwsza, to ciągła troska o poziom materialnej i duchowej egzystencji mojej rodziny, niebawem sześciuosobowej. Trzeba było zacząć od zdobycia jakiegoś kąta pod dachem, bo nie miałem żadnego, a następnie poprawiać warunki mieszkaniowe na odpowiednie, by wychować i wykształcić czterech synów. Gdyby wydarzenia potoczyły się „normalnie”, gdyby ból i cierpienie, jakie po ćwierćwieczu rodzinnego i – powiedzmy – dość szczęśliwego życia nie spadły na całą rodzinę jak grom z jasnego nieba, z pewnością nie sięgałbym piórem do przeszłości. Tkwiłaby ona sobie po wszystkie wieki w stanie nienaruszonym, w wyznaczonym przez Opatrzność miejscu, bez potrzeby jej utrwalania na piśmie. Nie udawałbym się w ową podróż ku minionym czasom, podróż niełatwą, bo mającą siłą rzeczy odsłaniać tajniki własnego serca i osobiste widzenie otaczającego świata, czego dotąd specjalnie ani nie czyniłem, ani tym bardziej nie starałem się tego wynosić na jaw. To, co było i przeminęło, raczej pozostawało poza uwagą i świadomością. Kiedy jednak ta niejako przyzwyczajona dotąd biegnąca w przyszłość droga doznała pęknięcia, z którego wypłynął ogrom duchowego bólu i cierpienia, zalewając nie tylko mnie, lecz także najbliższe memu sercu istoty, trudno było mi nie chwycić za pióro. Zapanowała bowiem wokół nas jakaś totalna i fatalna moc beziły, beznadziei i beznadziejności, jakiej nigdy nie spodziewałem się doznać i na jaką nie byłem przygotowany. Pióro więc, ożywiające w miarę – jak powiedziałem – pomyślną dotąd przeszłość, i praca zawodowa, zawsze sięgająca w przyszłość, mogły przynieść pewne pocieszenie i ukojenie. Także lektura! Bo zapisana w niejednej księdze prawda o ludzkim losie zaczęła mocno do mnie przemawiać. W tej sytuacji przychodziły mi na myśl słowa tragedii Sofoklesa pt. *Edyp*, które podał w przekładzie Kazimierz Morawski – jeden z najwybitniejszych filologów klasycznych:

O śmiertelnych pokolenia,
Życie wasze to cień cienia!
Bo któryż człowiek więcej tu szczęścia zażyje
Nad to, co w sennych rojeniach uwije,
Aby potem z biegiem zdarzeń
Po chwili snu runąć z marzeń.
Los ten, co ciebie, Edypie, spotyka
Jest mi jakby głosem żywym,
Bym żadnego śmiertelnika
Nie zwał już szczęśliwym...

A dziś kogo większa moc
Kłęk i złego gnębi?
Któż w czarniejszą runął noc
Do nieszczęścia głębi?²

Pewną ulgę w nieszczęściu mogło więc przynieść rozważanie o minionych latach, pełnych nadziei, latach w miarę twórczej, zaradnej i mężnej realizacji życiowych planów. Bo chociaż z jednej strony wierzyłem Senece Filozofowi (*Listy do Lucyliusza*), że „cokolwiek życia mamy poza sobą, to należy ono już do śmierci”, to z drugiej budziła się magiczna czy romantyczna wiara w potęgę słowa pisanego, które ma dość siły, by przywrócić przeżyte kształty do istnienia, by tchnąć chociaż namiastkę ducha w to, co już bezpowrotnie minęło, co legło w głębiach tajemnicy śmierci. Z silnego przeżywania równie tajemniczego krzyża, jaki spadł na całą moją rodzinę, oraz ze świadomości jakiegoś trwania tego, co napisane, rodziła się dla zbolałych serc strużka nadziei na jakieś ukojenie. Może też świeciła jakaś zachęta, aby przejść do wyznaczonego porządku rzeczy w wiecznie zmieniającej się rzeczywistości tak przecież cudownie urządzonego świata. Nie jesteśmy na nim nieśmiertelni, lecz dopóki żyjemy, powinniśmy mieć nadzieję na coś lepszego. Bo chociaż czas i praca, nawet ta najciekawsza, nie potrafią uleczyć wszystkich odniesionych ran, to pozwolą nam przynajmniej łatwiej z nimi żyć.

Zacząłem więc układać moje wspomnienia trochę tak, jak uczynił to Mickiewicz w swoim nieśmiertelnym poemacie. Dlaczego nie miałbym sięgać po wzory do nieosiągalnie wielkich mistrzów? Najpierw więc przeniosę moją duszę utęsknioną do rodzinnej wioski, do Mięcierzyna na uroczych Pałukach, do jego pól płaskich i pagórkowatych, obsiewanych zbożem różnym, przede wszystkim żytem i pszenicą, mniej jęczmieniem i owsem, do pól obsadzanych ziemniakami i w niewielkim stopniu słodkimi burakami. Zapelnę wyobraźnię i łąkami zielonymi, skąpo nad strugą mięcierzyńską rozłożonymi, i nieprzebytym Lasem Królewskim z jego parowami i kryjącymi się w nim wieloma jeziorami. Ukazę także mieszkańców, zapracowanych i biednych, ludzi twardych, z siekierami i kosami, rzetelnych i wiernych sobie nawzajem, swoim przodkom i ich obyczajom. Albowiem i ja nie tylko byłem, lecz także stale czuję się jak „koł w ich płocie”. W swoim ciągłym opowiadaniu pragnę przebiec, na ogół chronologicznie, wszystkie etapy mego życia, jakiegokolwiek by one nie były, i wyciągnąć z nich to, co ukazać warto, a może i to, o czym lepiej byłoby zapomnieć.

² Tłum. Kazimierza Morawskiego, Kraków 1926.

W takim oto nastroju, mój Boże i Panie, na tych kartkach („tatuś, co ty piszesz na tych kartkach?” – pytały czasem moje dzieci) stawiam pierwsze zdania o sobie samym i swoich najbliższych i najdroższych istotach. Ty zaś, Ojciec naszej wiary, który patrzyłeś na śmierć swego jedynego Syna (niepojęte to!) i patrzysz na niezliczone zgony swoich śmiertelnych dzieci (i to także niepojęte!), pozwól mi w prawdzie doprowadzić do końca rozpoczęty *Pamiętnik wiejskiego syna ziemi pałuckiej*, aby mógł przynosić pożytek i dobro tym, którzy wezmą go do ręki. Zwłaszcza zaś niech szczerą prawdą wspomnień zaprowadzi on choć trochę ładu, pokoju i radości tak we mnie, jak i w mojej rodzinie, którą ogrom nieszczęść swoim ciężarem niemiłosiernie przygnoił na długi czas, a prawdę mówiąc – już na zawsze. O cóż więcej mogę prosić?